

Steffen Möller: „Vita Classica – wyznania słuchającego inaczej”

ii Święta Góra

W końcu zdecydowałem się na terapię dla swojej paranoi. Postanowiłem publicznie przerwać wieloletnią hypokryzję, pisząc książkę o muzyce klasycznej. Problem polegał tylko na tym, że nie miałem pojęcia, w jaki sposób mówić o moich ulubionych kompozytorach i o setkach płyt na moich półkach. Nie posiadałem ani wiedzy ani ochoty, żeby wygrzebać nowe fakty o dziełach Chopina czy Brucknera. Sam zresztą nie czytam zbyt często fachowych lektur o enigmatycznym stylu późnego Beethovena czy wczesnego Schönberga.

Wreszcie wpadłem na pomysł, jak to zrobić. Ściśle mówiąc nie był to mój własny pomysł, tylko kopia dawno znanego pomysłu. Jeśli napisać o muzyce, to tylko tak, jak to robią zwolennicy pop/rocka. Zamiast rozwodzić się o nudnych szczegółach, piszą oni bezwstydnie o własnym życiu na tle swojej ulubionej muzyki. Zamiast analizować wszystkie dzieła Supertrampów albo Joy Division opisują swój pierwszy pocałunek w jakiejś knajpie – podczas którego tam grano w jukebox jakiś utwór muzyczny. Jednym słowem: cwaniacy opowiadają nam całą swoją autobiografię z małymi wstawkami muzycznymi.

Właśnie ten chwyt mi się spodobał. Oprócz nadziei na autoterapię skłoniła mnie to tego jeszcze druga motywacja. Chyba nikt (oprócz Bogusława Kaczyńskiego) nie przyszedł jeszcze na świat z pełną świadomością: „No cóż – jestem fanem klasyki”. Również mnie zajęło parę lat, zanim do mnie dotarło, że wolę barokowe sonaty od ciężkiego brzmienia rockowego, długie romantyczne symfonie od czterominutowych przebojów Phila Collinsa. Jeszcze później, w okresie coraz silniejszej paranoi, zaczęło mnie nurtować pytanie: skąd się właściwie bierze mój dziwaczny, anachronistyczny gust muzyczny? A skąd się bierze u innych ludzi? Wydaje mi się, że właśnie ta kwestia da się również rozwiązać tylko poprzez żmudną analizę własnej biografii. Odpowiedź będzie – tyle powie mi intuicja – dość złożona, nie oszczędzając mi głupich wyznań.

*

Oto jest pytanie: jak doszło do tego, że pewien człowiek, rocznik 1969, został fanem pewnego kierunku muzycznego, choć ów kierunek przez 95 procent jego społeczeństwa był uważany za staromodny i nudny?

Pierwsza odpowiedź, która przychodzi mi do głowy, brzmi tak: środowisko było temu winne. W moim przypadku sprawa wydaje się nadzwyczaj prosta. Jestem synem, bratankiem, wnukiem ewangelickich pastorów, a cóż pozostaje takiemu człowiekowi innego niż stać się miłośnikiem klasyki? Przecież nawet moi babysitterze byli studentami teologii!

Mój ojciec urzędował początkowo jako ewangelicki pastor w północnej Hesji i został następnie zatrudniony w akademii teologicznej w Wuppertalu, mieście, które położone jest w zwanej „Krainie Górskiej”, czyli obszarze między Nadrenią i zagłębiami Ruhry, niedaleko Kolonii. Akademia znajdowała się w centrum miasta, na wzgórzu

zwanym Hardt czy też „Świątą Górą” – tak nazywali ją mieszkańcy miasta z powodu jej pobożnych mieszkańców.

Szkoła cieszyła się uznaniem przede wszystkim wśród pierwszorzeczników, ponieważ wśród niespełna 200 mieszkańców panowała rodzinna atmosfera. Profesorowie, chyba ze względu na ideały prachrześcijańskie, mieszkali w tych samych budynkach, co ich studenci. Dlatego też my – moi rodzice, moi dwaj bracia i ja – wprowadziliśmy się do bocznego skrzydła dużego akademika. Od studenckiego korytarza dzieliły nas tylko cienkie drzwi drewniane. W weekendy odbywały się za tymi drzwiami studenckie imprezy, tak głośne, że ojciec otworzył drzwi i grzecznie prosił o spokój, zawsze bez skutku.

Również moja matka miała ciężkie życie z dorastającymi teologami. Skończyła właśnie trzydzieści lat i zamówiła sobie wiklinowy kosz plażowy w Timmendorf nad Bałtykiem. Stał on teraz w ogrodzie naszego akademika, a na jego białoczerwonej wyściółce opalała się małżonka profesora w niebieskim bikini. Coś takiego nie zdarzyło się w tej akademii od chwili jej założenia w latach trzydziestych. Nic dziwnego, że wielu studentów w letnich popołudniach przesiadywało w oknach swoich pokoi, patrząc w ogród, zamiast wkuwać hebrajskie słówka. Nawet w hippisowskich latach siedemdziesiątych zachowanie mojej mamy wywołało mały skandal.

*

Ale bezpośrednie sąsiedztwo studentów miało dla moich rodziców i dobre strony. Na wyciągnięciu ręki mieli całe tabuny potencjalnych babysitterów. Gdy wieczorem chcieli gdzieś wyjść, wystarczyło, że powiesili w śmierdzące kuchni studenckiej stosowną karteczkę. Zwykle po dwóch godzinach zgłaszał się ktoś chętny zarobić 10 marek na cały wieczór.

Niektórzy z naszych babysitterów mieli dar prawdziwego showmena. Moim pierwszym wspomnieniem muzycznym jest zatem piosenka *Mein Gott, Walter!* (mój boże, Walterze) pewnego wschodniofryzyjskiego trubadura Mike’a Krügera, popularnego w Niemczech do dzisiaj, grana przez babysittera o nazwisku Henning Trübel, który pochodził z Kraju Saary. Nosił ogromne okulary lat siedemdziesiątych, śmiał się szeroko jak saarlandzki Chińczyk i uwielbiał brzdękolić na gitarze sakro-pop. Większość opiekunów w ogóle się nami nie interesowała i przez cztery godziny siedziała ze słownikiem hebrajskim przed telewizorem – ale nie Henning Trübel. Ten to przychodził do naszego pokoju z gitarą i śpiewał na początek obowiązkowe *Laudato si, o mio signore!*, po czym przechodził do świeckich piosenek, np. do balady o pechowcu Walterze, której dziewięć strof w całości znał na pamięć. Ostatnia była najlepsza. Za każdym razem nas rozśmieszała:

Życie nie szczędziło Walterowi wielu prób,
i pech szedł za nim aż po grób.

Bo trumna z nim wypadła z rąk tragarzom. Zapadła trwoga.
Zawołał ksiądz przerażony: Walter, bój się Boga!

Później Henningowi Trübelowi przydarzyło się niestety to, co jego bohaterowi Walterowi: zawałił egzamin z hebrajskiego i musiał pożegnać się z akademią. Ponieważ jego nazwisko znaczyło tyle co „Mętnik” mój ojciec podsumował ten smutny przypadek słowami: „Mętnie widzę jego przyszłość”. Nie mam pojęcia, jak się ona dalej potoczyła.

*

Jeśli nawet mu się jednak udało i wyśpiewuje dziś z ambony to swoje *Laudato-Si*, na pewno ani po trochu nie był fanem klasyki. Podobnie rzecz się miała u 98 procent jego kolegów. Należałoby raczej powiedzieć: wśród 200 studentów i studentek akademii teologicznej miłośnika klasyki z lupą można było szukać. Wiem, co mówię, bo jako dziecko często przemykałem przez drzwi łączące nasz korytarz ze studenckim i potajemnie dokonywałem inspekcji ich śmierdzącej kuchni. Z pokoiów studenckich rozbrzmiewało wszystko, tylko nie klasyka. Był to głównie niemiecki rock, dalej były to ballady Joan Baez i Boba Dylana, wytarta wykładzina PCV falowała też w takt dudniących dźwięków Sex-Pistols czy Joy Division. Nie, stereotyp studentów teologii, którzy pogłębiają swą wrażliwość słuchając kantat Bacha czy *Missa Solemnis* Beethovena, był całkowicie nieprawdziwy. Owszem, uczyli się greki i hebrajskiego, wypisywali na prześcieradłach hasła przeciw amerykańskim rakietom NATO, a jakże. Ale przede wszystkim grali w piłkę nożną i to na bardzo wysokim poziomie, biegając w korkach i ochraniaczach na nogi.

*

Za akademikami rozciągała się duża łąka i boisko wysypane żużlem, z nigdy niewysychającymi na nim trzema kałużami. To tam właśnie przez cały tydzień grało się w piłkę. Nam, dzieciom wykładowców, pozwalano łaskawie zagrać. Głównym wydarzeniem każdego semestru były mistrzostwa akademii, w których poszczególne korytarze wszystkich trzech akademików rywalizowały ze sobą przez kilka tygodni. Dzień finału rozpoczynał się od ogólnej zabawy, mianowicie meczu wykładowców z żeńską drużyną studentek. Mój ojciec stał wtedy najczęściej na bramce i nie był w stanie obronić najłatwiejszych strzałów. Świetnie się przy tym bawił, co było już doprawdy żenujące, ale na szczęście nie on jeden był antytalentem. Dlaczego, pytałem sam siebie stojąc na skraju boiska, studentki tak dobrze grają, podczas gdy ich profesorowie nie mają za grosz wyczucia piłki? Czy to odchodzi z wiekiem? Nie, wydawało mi się raczej, że uczestniczę w ogromnej zmianie pokoleniowej. Podczas gdy profesorowie pochodzą jeszcze z epoki, w której teologowie w niedziele chodzili do kościoła, ich studenci i studentki przynależą już do nowoczesnych czasów, kiedy to w niedzielę trenuje się rzuty różne.

W każdym razie należało współczuć tym humanistom, którzy tam niezdarnie biegali po boisku. Prawie zawsze nabawiali się, nawet niefaulowani, poważnych kontuzji, i tak wykładowca od Nowego Testamentu siedział oszołomiony na żużlu, systematyk miał zabandażowana głowę, a profesor od historii Kościoła chodził po polu karnym kulejąc, ponieważ zamiast w piłkę kopnął w słupek. Jako kibic miałem w każdym

razie wystarczająco wiele okazji, by się wstydzić za moje teologiczne pochodzenie i przysięgać na wszystkie świętości, że całe życie będę łamał stereotyp syna pastora. Tylko w wypadku piłki mi się to udało. Nie było dnia, żebyśmy mój brat Tilman i ja nie trenowali na żużlowym boisku. Podczas gdy Tilman wyrastał na dobrego obrońcę, ja czekałem jako niezawodny snajper – zazdrośni przeciwnicy przezywali mnie „ochłapiarzem” – na polu karnym przeciwnika na dobre podania. Później założyliśmy nawet drużynę złożoną tylko z profesorskich synów, która w mistrzostwach pod koniec lat osiemdziesiątych strasznie gromiła tych wysportowanych studentów teologii, raz nawet wygrywając 62:2. Byłem królem strzelców, bo w całym turnieju zanotowałem ponad 50 goli. Nawet dziś jeszcze nie mam odwagi, wyznać kolegom z zespołu, że już wtedy byłem fanem klasyki.

*

Nie tylko studenci, ale również moi koledzy z podwórka, czyli inni profesorscy synowie nie słuchali w żadnym razie Mozarta czy Brahmsa. Nasi ojcowie, nieudolni piłkarze, stanowili ostatnie pokolenie teologów, które słuchało jeszcze płyt analogowych z muzyką poważną. Ale na tym kończyło się ich uczestnictwo w oficjalnej kulturze. Mieszkało się skromnie, najczęściej były to meble z IKEI i zadowalano się publiczną telewizją. Teatr, opera, literatura, kabaret, kino, wystawy artystyczne – całe to burżuazyjne spektrum kulturalne nie budziło zainteresowania. Nie było też domowych kwartetów smyczkowych, czytania dramatów z podziałem na role, a nawet nikt nie prenumerował opiniotwórczych dzienników. Zamiast tego czytano lub bojkotowano lokalną prasę, czyli „Wuppertaler Generalanzeiger”. Kulminacją cosemestralnego życia kulturalnego były podwieczorki żon profesorów czy „kolorowe wieczory” studentów, gdzie w przystrojonej girlandami stołówce zagrano skeczy kpiące z profesorów czy wykonywano stuzwrotkowe ballady gitarowe.

Czasami moja mama zapraszała do naszego stolika przy obiedzie kolegów mojego taty; dyskutowano wtedy o synodach okręgowych, polityce i piłce nożnej. Nie mieliśmy książek Goethego, tyleż samo wydań Tomasza Manna, którego słynne powieści mój tata nie czytał. Wśród nieteologicznych książek w naszej bibliotece dominowały powieści Heinricha Bölla i Henry’ego Millera.

Być może cała ta kultura odbierana była jako konkurencja dla religii – w każdym razie ignorowano ją na „Świętej Górze” dość dogłębnie. Tylko muzyka stanowiła tu wyjątkiem – wszyscy teologowie lubili śpiewać. Wielu studentów grało na gitarze i na codziennych nabożeństwach porannych w Auditorium Maximum, na które zwoływały dzwony o godzinie dziesiątej, śpiewano wszystkie rodzaje pieśni religijnych, czy to chorały Bacha, piosenki sakro-pop czy pieśni z Taize.

Z czasem ukułem sobie taką teorię, skąd się bierze protestanckie zamiłowanie do muzyki. Była ona jedynym sposobem, by głosić przyciężką wiarę chrześcijańską bez narażania się na śmieszność. Wszelki kicz religijny pozostawiano „ewangelikom”, niezliczonym protestanckim sektom, które rosły na dole, w wąskiej dolinie rzeki Wupper. Od czasów XIX wieku miasto Wuppertal było rajem dla takich sekt, ktoś doliczył się kiedyś aż 130 różnowyznaniowych parafii.

Na „Świętej Górze” chrześcijańska wiara była jednak pod ostrym kontrolą nauki i rozumu. Wzorem byli wielcy teologowie Karl Barth i Dietrich Bonhoeffer (ten ostatni uchodził za męczennika, bo został zabity przez faszystów w 1945 roku). Panowała więc totalna pruderia religijna. Nikt nie opowiadał o osobistych przeżyciach religijnych, nie było żadnych glosolalii; nie uciskano własnych czark ani nie badano nocnych snów. Pojęcia takie, jak Bóg, Jezus, czy zmartwychwstanie zmarłych na co dzień właściwie nie były w użyciu. Nie mówiło się u nas w domu: „to leży w boskich rękach”, lecz „to leży w innych rękach”. Nie żegnano się, a modlitwę przed jedzeniem odbębniano na pozór bez zaangażowania. Przyuczano do surowej ascezy, która miała być jednocześnie zgodną ze współczesnym stanem wiedzy nauk przyrodniczych. Dla niewtajemniczonych, jak choćby tanzańskich czy koreańskich stypendystów, którzy przyjechali z daleka, żeby tu poznać słynną niemiecką teologię, musiało to być jak rozpaczliwy szpagat, zagadkowa zabawa szklanymi paciorkami.

Dopiero w śpiewie poważne twarze się rozjaśniły, dopiero tu znajdowało się rozwiązanie na wszystkie problemy wiary. Nic dziwnego, że Jana Sebastiana Bacha czczono jako piątego ewangelistę.

*

Przynależność do takiej anachronicznej wspólnoty, której nikt w mojej szkole ani w mediach nie brał na poważnie, była dla mnie często uciążliwa, ale ostatecznie jednak fascynująca. Podziwiałem tych dwustu ludzi, którzy uparcie poświęcali się wyśmiewanej wszędzie indziej sprawie. W miarę upływu lat stałem się nawet jeszcze bardziej tego ciekawy. Gdy na łące przy boisku latały zgubione kartki z hebrajskimi słówkami, podnosiłem je i podejrzewałem, że za tymi kreskami i kropkami kryją się najgłębsze tajemnice. Poznać je można było zapewne tylko za zamkniętymi drzwiami sali seminaryjnej, pod ochroną akademickiego żargonu fachowego.

Dlatego po szkole sam się zapisałem na studia teologiczne, a sekretarka naszej Akademii, która karmiła mnie kawałkami czekolady, gdy byłem dzieckiem, powitała mnie jako rychłego następcę ojca. Po paru tygodniach musiałem jednak wykonać żalostny odwrót. Seminarium „Wprowadzenie do nowotestamentowej egzegezy biblijnej” pokazało mi niestety, że za zamkniętymi drzwiami nikt nie zdradza żadnych tajemnic. Profesor i studenci nawet tu nie mieli odwagi puścić pary z nieśmiałych ust. Straciłem cierpliwość do subtelnych aluzji i naukowych zawoalowań i opuściłem Akademię Kościelną.

*

Koniec więc z tezą, iż dzieciństwo spędzone w środowisku teologicznym automatycznie prowadzi do tego, że człowiek staje się fanem klasyki. Owszem, środowisko jest ważne, muzyczne otoczenie jest właśnie w przypadku klasyki nieodzowne. Kto jako dziecko nigdy nie miał z klasyką nic wspólnego, nigdy zapewne już jej nie pozna; pierwszy kontakt w wieku dwudziestu lat to na pewno za późno. Pod tym względem zawdzięczam swojemu środowisku dużo, ponadto uzyskałem w

zmarginalizowanej grupie teologów pewną odwagę, by stawić czoła duchowi czasów. Bez takiej odwagi młody fan klasyki prędzej czy później musiałby popełnić harakiri. Jednak wszystko to są tylko warunki do stania się słuchaczem muzyki klasycznej. Cztery piąte całej młodzieży, którym stworzono te warunki, mimo to nie staje się fanami klasyki – tak jak to było w przypadku studentów teologii, wśród których muzyka klasyczna nie cieszyła się uznaniem. Ta sama niechęć dotyczyła moich kolegów z drużyny, synków teologów z żużlowego boiska. Tu „idealne warunki” zamieniły się nieraz w swoje przeciwieństwo. Ciągłe obcowanie z muzyką Bacha, w postaci preludiów organowych, śpiewników i mszy śpiewanych wielu z nich doprowadzała do białej gorączki. Po protestanckiej confirmacji ich noga nigdy więcej nie powstała w kościele, pasje Bacha napawały ich wstrętem i stali się wyłącznie słuchaczami muzyki popularnej lub milczącymi buddystami.